

Lewica powinna się czerwienić

23 maja 2015

Labour jest w głębokim kryzysie. Zdefiniowanie pryncypiów współczesnej socjaldemokracji i odnalezienie kontaktu ze społeczeństwem to olbrzymie zadania stojące przed kandydatami na lidera partii. Szanse na to, że im podołają, są nikłe.

Niespodziewany wynik wyborów do Izby Gmin już następnego dnia przestał być niespodzianką. Nagle okazało się, że wszyscy doskonale wiedzieli, jak będzie wyglądał polityczny pejzaż Wielkiej Brytanii w następnej pięciolatce. Torysi od wczesnego poranka upojeni triumfem, gdzie tylko mogli, przekonywali, że takiego wyniku się spodziewali, byli pewni wygranej i rozumu wyborców. Podobnie było z politykami Labour. Oni również nagle zaczęli opowiadać każdemu, kto chciał słuchać, że wynik wyborów był dokładnie taki, jak przewidywali. Ci zapraszani do telewizyjnych studiów stwierdzali z pełnym przekonaniem, że katastrofa była spowodowana ostrym skrętem Eda Milibanda na lewo i opuszczeniem centrum.

Narracja blairystów – polityków prawego skrzydła Partii Pracy – szybko stała się dominująca. Bon mot Tony’ego Blaira: „Kiedy tradycyjna lewica walczy z tradycyjną prawicą, wynik też jest tradycyjny” był wałkowany aż do znudzenia. Zdefiniuj przeszłość, dyktuj przyszłość – podstawowe prawo polityczne – zostało szybko wdrożone przez blairystów liczących na powyborszy szok i niemoc w szeregach lewego skrzydła partii. Prawie się udało. Lewe skrzydło potrzebowało trochę czasu na otrząśnięcie się, ale w końcu ruszyło do kontrofensywy. Dziś, dwa tygodnie po wyborczym zimnym prysznicu, Partia Pracy zażarcie dyskutuje i zaczyna poszukiwania nowej politycznej formy. Wybór nowego lidera, który zastąpi na czele partii Eda Milibanda, został przełożony na jesień. Labour daje sobie czas na debatę, analizę i „poszukiwanie duszy”. Problem w tym, że szans na szybkie polityczne odbicie nie ma. Bołaczka Labour wpisuje się bowiem w szerszy kontekst kryzysu wielkich partii

socjaldemokratycznych, które coraz bardziej odklejają się od swojego elektoratu i nie są w stanie ani pozyskać nowych sympatyków, ani na nowo zdefiniować swojej tożsamości.

REGRESYWNY PROGRES

Problem lewicy leży w jej samej naturze ideologicznej. To jest z grubsza polityczny ruch na rzecz progresu: społecznego, gospodarczego, politycznego. Sensem istnienia i działania lewicy od zawsze było zakwestionowanie status quo, skruszenie obowiązujących paradygmatów i zaproponowanie nowych rozwiązań. Pęd do zmian, nacisk na reformy, zapach rewolucyjny – cechy tradycyjnej lewicy w ostatnich latach – jednak zanikły. Wielkie partie socjaldemokratyczne w wielu krajach, od Francji, przez Niemcy i Wielką Brytanię, a na Polsce kończąc, pod koniec XX w. na ogół stały się partiami centrowymi. Broniącymi status quo i niewrażliwymi na los słabszych. W sferze idei stanęły na polu konserwatywnym, raczej hamując zmiany, niż je napędzając. W środowiskach lewicowych intelektualistów zapanowały ideologiczny regres i myślowa gnuśność. Świat zaczął być napędzany przez konserwatystów, którzy aż kipieli od reformatorskich pomysłów.

Regan, Thatcher, a później Bush wyznaczyli kierunki rozwoju świata. Z katastrofalnym skutkiem, ale przy biernym oporze, a czasem także za przyzwoleniem lewicy, która paradygmaty konserwatywnych liderów z czasem przyjęła także jako swoje. Globalny kryzys, który obnażył wszystkie wady ideologii prawicy, był dla lewicy polityczną szansą na wyrwanie się z letargu. Ten test wielkie socjaldemokratyczne partie oblały, bo nie były w stanie wypracować alternatywnej, radykalnej wizji politycznej i gospodarczej. A świat powoli zaczął przesuwac się w lewo. Częściowo keynesistowską politykę, chociaż się do tego nie przyznaje, prowadzi dziś nawet George Osborne – zatwardziały przedstawiciel szkoły neoliberalnej. Nie z dobrej woli ani z altruizmu. Na prawicy dominuje po prostu pragmatyzm otwierający ją na potrzeby mniejszości i słabszych. Zwłaszcza na te, które sprzyjają wzrostowi i

zmniejszają napięcia społeczne, a nie wymagają wyrzeczeń od bogatych partyjnych sponsorów. Klasyczna socjaldemokracja w obliczu coraz bardziej pragmatycznej prawicy nie ma już wiele do dodania. A jednocześnie jak ognia boi się radykalizmu i politycznych narracji wychodzących poza status quo. Podobnie jest w przypadku lewicowych postulatów w kwestiach społecznych – legalizacja miękkich narkotyków, prawo do eutanazji, małżeństwa osób tej samej płci, wyrównywanie dostępu do służby zdrowia i edukacji stają się faktami w kolejnych krajach. Często za sprawą prawicy. Na politycznej scenie XXI w. XX-wieczna lewica nie jest w stanie znaleźć sobie miejsca.

LEWICA POD ŚCIANĄ

Labour przez lata radziła sobie lepiej niż niemiecka SPD czy francuscy socjaliści, ale wygląda na to, że kryzys dotarł również na Wyspy. Wcześniej, niż się wydaje. Liczba wyborców głosujących na Partię Pracy stale się zmniejsza i to od 2001 r. Nawet Tony Blair, którego do władzy niósł entuzjizm mas, w 2005 r. był w stanie uzyskać zaledwie 35-proc. wynik. Labour szybko stała się partią władzy stopniowo alienującą swoją tradycyjną bazę wyborczą. Pogoń za centrowym elektoratem i przekonanie o braku politycznej alternatywy oraz partyjnej oferty dla klasy robotniczej z północy – serca brytyjskiej lewicy – spowodowały, że dziś ci, którzy oddają głos na Labour, robią to albo z przyzwyczajenia, albo wybierając mniejsze zło. Entuzjazmu nie ma. Nadzieja na lewicową rewolucję dawno wyparowała. Zwłaszcza że Labour, podobnie jak innym socjaldemokracjom, jest dziś znacznie bliżej do centroprawicy niż do ruchów społecznego buntu, które często mają szowinistyczne barwy (brytyjski UKIP, francuski FN), do nowej lewicy klasowej (grecka Syriza), ruchów antyestablishmentowego sprzeciwu (hiszpański Podemos) czy nawet niezbyt nowej, zielono-tęczowej lewicy wielkomiejskiej (Green Party).

Niechęć Eda Milibanda do zawarcia koalicji ze szkockimi nacjonalistami była spowodowana nie tylko taktyką wyborczą i

PR-em, ale też niezgodą na radykalizm Nicoli Sturgeon. W tym kontekście samo zastąpienie lidera nie rozwiąże żadnego z problemów Labour. Bo chociaż twarz partyjna jest niezwykle ważna – w końcu propozycje programowe Partii Pracy cieszyły się dużym społecznym poparciem, ale niechęć do Eda Milibanda mogła przeważać szalę na korzyść torysów – to jednak próba połączenia lewicowego radykalizmu, który dałby zwycięstwo w Szkocji i w północnej Anglii, z centrowym szlifem akceptowalnym przez południową i wschodnią Anglię wydaje się niewykonalne. Chyba że Labour postawi na pracę u podstaw, mozolnie przekonując do swojej wizji, a także wejdzie w jakąś formę koalicji z rosnącymi w siłę Zielonymi.

Integracja brytyjskich środowisk lewicowych, działalność społeczna, praca u podstaw. To lekcja z krajów Ameryki Południowej, gdzie lewica wygrała nie dzięki krótkoterminowym strategiom wyborczym, ale dzięki ruchom obywatelskim. Tyle tylko że na Wyspach wspólnoty społeczne uległy implozji – od fabryk po grupy religijne. Skrajna atomizacja społeczna i wynaturzony konsumpcjonizm oznaczają, że budowa wspólnot musi się zacząć niemal od zera. I potrwa lata. A jednak dla brytyjskiej lewicy innej drogi nie ma. Labour znów musi zakorzenić się społeczeństwie. Rewitalizacja bazy jest niezbędna nie tylko do sukcesu wyborczego, ale także do pobudzenia publicznego entuzjazmu i wyrwania wyborców z politycznej apatii. Taka praca nie najlepiej wypada w telewizji i nie daje natychmiastowej gratyfikacji w postaci władzy, ale kładzie solidne fundamenty pod przyszły sukces. Owszem, pięć lat w polityce to niemal wieczność i polityczny stół do gry może się nagle wywrócić. Okoliczności, takie jak kryzys wewnątrz Partii Konserwatywnej, problemy z Europą, implozja UKIP, erozja zaufania do SNP, mogą sprawić, że przed Partią Pracy nagle i szeroko otworzą się drzwi do władzy, jednak liczenie na błędy politycznych przeciwników to niebezpieczny hazard. Bez ciężkiej pracy u podstaw raczej się nie obejdzie.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk